



12

Horror szkolny



30

Plutony różańca



46

Kogo wybierze Brazylia

Tematy tygodnia

- 12 Joanna Cieśla
Szkoła: koszmarna kumulacja roczników
- 16 Wojciech Smarzowski, reżyser filmu „Kler”, odpowiada na ataki

Polityka

- 20 Jacek Żakowski **Świat według PiS**
- 23 Anna Dąbrowska
Anna, siostra Mateusza

Społeczeństwo

- 26 Violetta Krasnowska
Prawdziwe efekty działania komisji repywatyzacyjnej
- 30 Prof. Zbigniew Mikołejko, filozof i historyk religii, o polskich fundamentalistach katolickich
- 34 Paulina Błasziewicz
Życie po odsiadce

Rynek

- 36 Joanna Solska **Szpitala za głosy**
- 39 Adam Grzeszak
Gaz w oparach absurdu
- 42 Cezary Kowanda
Czas letni przez cały rok

Świat

- 46 Artur Domosławski BRAZYLIA
Kto zawalczy z Mesjaszem?
- 49 Maciej Okraszewski JAPONIA
Tenisistka Naomi Osaka – swoja, choć obca
- 52 Filip Gańczak NIEMCY-TURCJA
Rozmowy niekontrolowane
- 54 Marek Ostrowski POLSKA-ROSJA
Dyplomacja wyklęta

Historia

- 56 **Po kapitulacji – zapiski powstańca warszawskiego Jana Martynkina**
- 60 **Zapomniany polski noblista Józef Rotblat**

Nauka

- 64 Michał Różyczka
Życie pozaziemskie coraz bliżej?
- 67 Agnieszka Krzemińska
Roztopione poczatki serów
- 70 Edwin Bendyk **Wojny cyberplemion**

Ludzie i style

- 72 Marcin Piątek
Kto wrobił mistrza Materlę?

- 75 Anna Dobrowolska
Relaksujące szepty

Kultura

- 82 Marcin Zwierchowski
Co komu wolno grać w filmach
- 85 KAWIARNIA LITERACKA
Piotr Paziński
- 86 Michał Wieczorek
Przekręty na biletach
- 88 Argentyński pisarz **Martin Caparrós** o kryzysie uchodźczym
- 91 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 92 Mirosław Pęczak
Artystyczny ruch oporu

Na własne oczy

- 100 Bartek Dobroch, fotografie Leszek Zych
Szał górskich festiwali

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 44 Przegląd informacji rynkowych • 78 Afisz • 95 Passent • 96 Hartman • 97 Tym • 98 Do i od redakcji • 99 Fusy • 106 Polityka i obyczaj

PRENUMERATA PAKIETOWA: WYDANIE PAPIEROWE I CYFROWE W JEDNYM

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystribucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich z Państwa, którzy chcą mieć pewność zakupu POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej.

Odwiedź stronę <https://sklep.polityka.pl/pakietowa>. Zadzwoń: +48 67 210 86 30. To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Trudny odcinek posługiwania

Prymas Wojciech Polak zapowiedział przedstawienie raportu na temat pedofilii w polskim Kościele. Dokument „ma służyć do komunikacji ze społeczeństwem”. To pomyślna wiadomość w sytuacji, gdy na skutek braku komunikacji część społeczeństwa nie rozumie Kościoła i Kościołowi nie ufa. Jest szansa, że dzięki raportowi społeczeństwo lepiej pozna Kościół, a ci, którzy do tej pory nie rozumieli motywów działania niektórych księży, zrozumieją je. Społeczeństwo coraz mniej chętnie słucha głosu polskiego Kościoła. Ale jest szansa, że publikacja raportu tę sytuację zmieni i społeczeństwo nie tylko z uwagą wsłucha się w to, co Kościół w raporcie ogłosi, ale również weźmie to sobie do serca. Prymas Polak ma nadzieję, że raport poprawi zwłaszcza komunikację Kościoła z dziećmi i młodzieżą, pomagając uregulować wiele spraw „na tym trudnym odcinku naszego posługiwania”. Zgadzam się, że to odcinek niełatwy, dlatego mam nadzieję, że ujawnienie w raporcie, jak niebezpieczni dla dzieci i młodzieży są niektórzy księża i czym grozi bliski kontakt z nimi, sprawi, że młodzież, widząc księdza w szkole, kościele czy na ulicy, będzie na siebie uważała, przyczyniając się w ten sposób do zwiększenia swojego bezpieczeństwa. Nie ma gwarancji, że raport o pedofilii z miejsca poprawi komunikację Kościoła ze społeczeństwem, ale jest nadzieja,



że w tym raporcie polski Kościół wypadnie korzystnie niż w filmie „Kler”, na który Polacy wybierają się ostatnio chętniej niż do kościoła. Trzeba przyznać, że w tym filmie polski Kościół wypada słabo, co zresztą zdaniem części recenzentów wynika ze słabości filmu, a nie Kościoła. Główny zarzut pod adresem „Kleru” jest taki, że jest on kłamliwy, bo polskich księży udają podstawieni aktorzy, a pokazane kościoły nie mają nic wspólnego z polskimi kościołami, gdyż film kręcono w Czechach. W tej sytuacji co bardziej wymagający widzowie przyjęli „Kler” z niechęcią i niezrozumieniem, a poseł Tarczyński z PiS na podstawie tego, że „Kleru” nie oglądał i nie ma zamiaru oglądać, stwierdził, że nie jest to żadne arcydzieło, tylko płytka prowokacja, w której Smarzowski, chcąc obnażyć Kościół, obnaża siebie i w ten sposób obraża widza.

Na korzyść Tarczyńskiego przemawia fakt, że z powodu tego, iż „Kleru” nie oglądał, i tak nie zrozumiał z niego o wiele mniej, niżby nie zrozumiał, gdyby go obejrzał. Na szczęście są osoby, które mimo że „Kleru” nie widziały, wszystko dobrze zrozumiały, np. komentator TVP Info ksiądz Henryk Zieliński, w opinii którego do powstania „Kleru” doprowadziła „pięta kolumna szatana, grzesząc i współpracując z wrogimi nam siłami”.



Zestaw Xbox One S z dyskiem 500 GB z abonamentem EA Access oraz grą EA SPORTS FIFA 19



Zestaw dostępny w sieciach:



[Kup książkę](#)

Kler nasz powszedni



Jerzy Baczyński

Wojciech Smarzowski coraz wyraźniej wchodzi w rolę, jaką w polskiej kulturze przez parę dekad odgrywał Andrzej Wajda. To, oczywiście, inne kino, korzystające z innej techniki i estetyki, Smarzowski był od pierwszych filmów nieporównanie bardziej brutalny, dosadny, sarkastyczny, ale im starszy, tym bardziej staje się podobny do Mistra, tworzy, z filmu na film, jakąś współczesną, osobistą wersję „kina moralnego niepokoju”. Nikt tak jak on nie potrafi dziś wtykać palca w różne bolesne miejsca polskości. Trudno się dziwić, że po premierze „Kleru” pojawiły się porównania sięgające aż legendarnego „Człowieka z marmuru”, który przed ponad 40 laty wstrząsnął fasadą komunistycznej władzy. Nie przesadzając z porównaniami i oczekiwaniami, podczas seansów „Kleru” starsze pokolenia odnajdują coś z tamtej atmosfery kinowej milczącej manifestacji politycznej.

Utwierdzają w tym ludzie podobne do niedysyjszych reakcje władzy i jej mediów, że „Kler” to marny pamflet, film nakręcony z pobudek politycznych i światopoglądowych, a sam reżyser – jak publicznie stwierdził ważny poseł PiS – po raz kolejny udowodnił, że „nie lubi Polski i Polaków”. Według wyszukanej terminologii prezesa Kaczyńskiego byłby to więc następny przypadek mnożący się „ojkofofii” (czyli wykrytej już wcześniej u sędziów nienawiści do własnego narodu). Różni przedstawiciele obozu władzy wezwali do bojkotu filmu, a redaktor „Gazety Polskiej” pozwolił sobie nawet na przywołanie hasła z czasów hitlerowskiej okupacji „tylko świnię siedzą w kinie” (liczebność trzody już w pierwszy weekend zbliżyła się do miliona – polski rekord kinowy wszech czasów!).

Poirytowanie władzy łatwo zrozumieć, bo Smarzowski na kilka tygodni przed wyborami ugodził w najważniejszego dziś koalicjanta „zjednoczonej prawicy”. Kościół instytucjonalny, ogromna większość biskupów i kleru wciąż dają ideową i moralną osłonę rządzącym, faktycznie autoryzując PiS jako jedyną partię polskich katolików, polityczną emanację Kościoła i wiary. Z badań socjologicznych jednoznacznie wynika, że stopień religijności pozostaje najsilniejszą determinantą poparcia dla PiS, a regiony o tradycyjnie ugruntowanych wpływach Kościoła są bastionami wyborczymi obecnej władzy. PiS zresztą w ciągu lat sprawowania rządów włożył dużo pracy, aby ten sojusz ideowy przekształcić w polityczny i instytucjonalny.

Kościół stał się częścią rytuału państwowego (Smarzowski w wywiadzie dla POLITYKI na s. 16 mówi, że czuje się tym osaczony), „ludzie Kościoła” znajdują się na listach kandydatów PiS w wyborach samorządowych, w wielu miejscach parafie są teraz, jak i w przeszłości, ośrodkami politycznej aktywności i agitacji. Świadczenia państwa na rzecz Kościoła wykraczają już daleko poza sferę materialną: Kościół katolicki w Polsce uzyskał wskutek reformy edukacji nieporównanie większy niż dotychczas wpływ na programy nauczania i atmosferę w szkołach (s. 12), wzmocnił nieformalne wpływy w urzędach, w służbie zdrowia. To wymieszanie sacrum z profanum uwiarytelnia cyniczną politykę zawłaszczania państwa przez wąską grupę partyjnego aparatu. Dla tego filmowy cios w reputację kleru jest tak politycznie bolesny.

Oczywiście nie jest tak, że Smarzowski odkrył jakieś niebywałe tajemnice kruchty, raczej przeciwnie – sfilmował to, o czym media (w tym POLITYKA) wielokrotnie pisały, a ludzie mówili. Trudno więc oczekiwać poznawczego szoku, nawet wśród osób mocno związanych z Kościołem: ci bardziej liberalni od dawna krytykują upolitycznienie, nacjonalizację i prymitywizację polskiego katolicyzmu, ale nawet wśród najbardziej konserwatywnych wyznawców zawsze bardzo silny był tzw. ludowy antyklerykalizm. Parafianie dobrze na ogół wiedzą o grzeszkach duchownych, ale też, zgodnie z polskim życiowym pragmatyzmem, zwykle nie stawiają im bardzo wysokich wymagań moralnych. Na film Smarzowskiego jeśli pójdą, to żeby utwierdzić się w powszechnych w Polsce przekonaniach o absurdzie celibatu, pazerności księży, żądzy władzy i obłudzie wielu „urzędników Pana Boga”. Bardzo prawdopodobne, że te popularne wyobrażenia na temat życia kleru są dla całego stanu duchownego mocno krzywdzące.

Ale polityczna siła „Kleru” nie sprowadza się do skierowania filmowych reflektorów na obłudę, a nawet przestępstwa w obrębie hierarchicznej instytucji „władzy duchowej”. Film demaskuje samą istotę autorytaryzmu – obojętnie, czy w wersji religijnej czy świeckiej – odsłania kulisy teatru władzy, zwraca uwagę, jak bardzo obie strony sojuszu – dzisiejszy Kościół i dzisiejsze państwo – mają podobne, zgola symetryczne, struktury i wzorce. Władza PiS, na co zwracamy uwagę od dawna, świadomie lub intuicyjnie przenosi w sferę polityki formy religijne – od państwowego kultu Lecha Kaczyńskiego, przez dogmat nieomylności jego następcy, po patriotyczne liturgie, uroczysty, patetyczny język przykrywający – jak w Kościele – brudne praktyki. Według tej samej zasady: Kościół nasz, choć tworzą go grzeszni ludzie, jest święty, a świętość misji usprawiedliwia i rozgrzesza także podłe doczesne uczynki.

Jeśli zastanawiamy się – jak choćby w ostatnim tygodniu – dlaczego mimo ewidentnych kłamstw premiera Morawieckiego, szmacianych kradzieży wrocławskich towarzyszy PiS, przekrętów na budowie dróg w Radomiu czy finansowania własnych mediów z publicznych pieniędzy (s. 98) poparcie dla partii nie spada, to pewnie dlatego, że ten mechanizm działa, że wiara unosi się ponad grzechami.

Film Smarzowskiego, jak i sam reżyser mocno eksponują patologie związane z sakralnym, zamkniętym, nieprzeniknionym dla ludu i w efekcie pozbawionym społecznej kontroli, bezkarnym sposobem sprawowania władzy. Postulat przywrócenia świeckości państwa (o co również w wywiadzie upomina się reżyser) nie odnosi się tylko do ziemskich wpływów Kościoła czy relacji państwo-Kościół, ale też do samych rządów. Demokracja liberalna to także mozolnie budowany przez pokolenia system desakralizacji władzy, odebrania jej nadzędności, nieomylności, transcendencji wynikającej z rzekomego bezpośredniego dostępu do prawdy, tradycji, dobra, woli ludu czy woli boskiej. „Kler” jest filmem o autorytarnej władzy. Dlatego jest filmem politycznym.

Jan Koza



© JAN KOZA

Złoto w siatce

Sukces przyszedł z zaskoczenia. Cztery ostatnie lata – od złota Polaków na mistrzostwach świata w 2014 r. do jego obrony kilka dni temu – upłynęły reprezentacji pod znakiem wewnętrznych wstrząsów, eksperymentów personalnych oraz bolesnych porażek. Wszystko skłaniało do smutnej konstatacji, że dobrze już było. Znakiem zapytania byli młodzi zawodnicy, na których postawił belgijski selekcjoner Polaków Vital Heynen – wprawdzie utalentowani, ale niemający wcześniej do czynienia z turniejem tej rangi. Zagadką był nasz atakujący numer jeden, **Bartosz Kurek**, mający zasłużoną reputację zawodnika chimerycznego, drażliwego i prześladowanego na punkcie krytyki oraz niepowodzeń. Na mistrzostwach był jednak najlepszą wersją samego siebie i bezdyskusyjnie został wybrany na najbardziej wartościowego zawodnika turnieju. Siatkarze cieszą się ze złota i deklarują, że już celują w 2020 r. i igrzyska w Tokio, bo medal olimpijski wymyka im się od dawna.



© SYLWIA DĄBROWSKA/POLSKA PRESS

Mapa zła

Rozmowa z Joanną Scheuring-Wielgus, posłanką koła Liberalno-Społeczni, o wywieraniu nacisku na Kościół, żeby rozliczył się z pedofilii wśród duchownych.

JOANNA PODGÓRSKA: – 7 października zostanie zaprezentowana interaktywna mapa pokazująca skalę nadużyć seksualnych wobec dzieci w polskim Kościele.

Jak zbieraliście dane?

JOANNA SCHEURING-WIELGUS:

– Dane zbiera fundacja Nie lękajcie się. Robi to już od momentu swojego powstania, czyli od 5 lat. Są to informacje od ofiar, z sądów i z rzetelnych materiałów dziennikarskich. W Polsce ofiary księży pedofilów nie zgłaszają się ani na policję, ani do prokuratury, to tak, jakby one w ogóle nie istniały. W większości przypadków nie zwierzają się także swoim rodzicom ani opiekunom, bo się boją. Księża łowią swoje ofiary wśród dzieci zaniedbanych, pochodzących ze środowisk patologicznych. Ofiara często sama przed sobą długo nie ma odwagi przyznać, że była molestowana czy wykorzystana. Takie osoby, w większości już dorosłe, trafiają pod opiekę fundacji. Jest ich w tej chwili około 300. Udało się także udokumentować 60 przypadków duchownych skazanych prawomocnie za przestępstwa pedofilskie.

Próbowaliście nawiązać współpracę z Kościołem przy zbieraniu danych?

Tak. Marek Liśiński, prezes fundacji, wielokrotnie prosił episkopat o współpracę, o spotkania – zero reakcji. Gdy w kwietniu zorganizowałam w Sejmie dużą debatę na ten temat, też oczywiście zaprosiłam przedstawicieli episkopatu, jak również policji, prokuratury i Ministerstwa Sprawiedliwości – bez odzewu. Jednak niedawno w „Tygodniku Powszechnym” ukazał się wywiad z o. Adamem Żakiem, który z ramienia episkopatu zajmuje się problemem wykorzystywania dzieci. Po raz pierwszy powiedział, że Polska w tym kontekście

niczym się nie różni od Irlandii czy Niemiec, ale też że panuje u nas wokół tego zмова milczenia. Takie słowa nigdy wcześniej nie padły. Informacja, że szykujemy tę mapę, sprawiła, że coś drgnęło.

W listopadzie mamy poznać statystyki z episkopatu. Biskup płocki z diecezji Marka Liśińskiego zgłosił nagle 9 przypadków przestępstw. Biskup połowy WP Józef Guzek zgłosił trzy. Nasza mapa na pewno nie pokaże wszystkich przypadków, ona ma być początkiem. Trudno ją porównać np. do raportu, który powstał w Niemczech, bo tam pracowała nad tym komisja fachowców przez 6 lat i miała dostęp do akt diecezjalnych. Trudno też oczekiwać, że statystyki episkopatu zebrane w miesiąc będą pełne. I pamiętać musimy, że księża pedofile powinni stawać przed świeckimi sądami i być karani jak każdy przestępca. Nie mogą ich sądzić koledzy po fachu, a „surową” karą nie może być przenoszenie z parafii na parafię.

Co zobaczymy na mapie?

Na naszej mapie Polski będą punkty z nazwami miejscowości. Jednym kolorem będą oznaczone przypadki duchownych skazanych za przestępstwa pedofilskie czy doniesienia medialne, innym świadectwa ofiar. Z ogólnościowych statystyk wynika, że nieprawdziwe doniesienia ofiar duchownych pedofilów stanowią około 3 proc. zgłoszeń. Tu łatwo wykręć fałsz. Marek Liśiński, który sam był ofiarą księdza pedofila, weryfikuje zgłoszenia napływające do fundacji. A jest ich coraz więcej. Od kiedy ogłosiliśmy powstanie mapy, zdarza się, że zgłasza się nawet kilka osób dziennie, a wczoraj było 120 telefonów! W dniu prezentacji mapy odbędzie się w Warszawie demonstracja „Ręce precz od dzieci”, która przejdzie z placu Trzech Krzyży pod siedzibę Diecezji Warszawskiej.

Chcę wysłać pisma do wszystkich klubów parlamentarnych i partii pozaparlamentarnych z prośbą o spotkanie następnego dnia, by porozmawiać o zwołaniu okrągłego stołu czy specjalnej komisji, która miałaby zająć się problemem kościelnej pedofilii. Udało mi się nawiązać kontakty z osobami, które pracowały w takich komisjach w innych krajach. Bardzo chcę nam pomóc. Kościół nigdzie nie oczyścił się sam, ale np. w Wielkiej Brytanii to biskupi zainicjowali powstanie świeckiej komisji. W Niemczech Kościół także ściśle współpracował ze świeckimi ekspertami. Myślę, że nasi hierarchowie też w pewnym momencie nie będą mieli innego wyjścia.

Czy pani sobie wyobraża w tych warunkach politycznych powołanie świeckiej komisji?

Przecież PiS nie będzie rządził wiecznie. Może nie będzie rządził już za rok. A najważniejszy w takich kwestiach jest nacisk społeczny. To było widać we wszystkich krajach, które przechodziły przez ten proces. Publikowane niedawno w „Rzeczpospolitej” badania opinii społecznej pokazały, że ponad 80 proc. Polaków jest przekonanych, że problem pedofilii dotyczy także naszego Kościoła, a 73 proc. uważa, że powinien on zostać wyjaśniony z pełną jawnością.

Dla mnie nie ma znaczenia, czy komisja powstanie teraz czy za dwa lata. Dyskusja będzie trwać. Najważniejsze, żeby stworzyć ten punkt zero, od którego zaczniemy. Trzeba robić swoje, nie oglądając się na prawicowe rządy.

Wywiad z Wojciechem Smarzewskim o filmie „Kler” i pierwszych reakcjach po ogólnokrajowej premierze – s. 16.



W tej rubryce, od początku dedykowanej pamięci Janiny Paradowskiej, która przez lata prowadziła swój autorski Tydzień w Polityce, zamieszczamy komentarze polityków, których Janka Paradowska szczególnie ceniła jako rozmówców. Do tego grona dołącza dziś Radosław Sikorski, były szef MSZ.

Co tam panie w Ameryce

Rząd PiS zachowuje się tak, jakby wierzył, że Trump może być brutalny wobec wszystkich na świecie, ale nie wobec Polski.

Prawie nikt nie odnotował w Stanach Zjednoczonych ani historycznej pogawędki Andrzeja Dudy z Donaldem Tuskiem, ani tego, że to prezydent Polski pofatygował się do premiera Izraela, a nie odwrotnie, ani nawet tanecznego popisu naszej Pierwszej Damy. Nie. Jak Ameryka długa i szeroka naród skupił uwagę na posiedzeniu komisji Senatu USA mającej ustalić czy 35 lat temu, jako nastolatek podczas zakrapianej imprezy, kandydat na sędziego Sądu Najwyższego molestował koleżankę z liceum czy też nie. Jak było do przewidzenia, okazało się, że sędzia Kavanaugh nie jest święty, ma luki w pamięci i powstało pytanie, czy nieświętemu można powierzyć publiczny urząd. Jakąkolwiek podejmą decyzję, demokracja już straciła, bo obnażyła tak stronniczość kandydata, jak i niezdolność klasy politycznej do wzniesienia się ponad plemienne podziały.

Natomiast za kulisami dyskusja wśród amerykańskiej klasy „gadającej” toczy się o tym, czy USA są w stanie utrzymać światowy prymat, czy szczyt potęgi mają już za sobą. Argumenty są porównywalne, inaczej ujmując – Ameryka nigdy nie była tak silna i tak słaba jednocześnie. Żadne mocarstwo w przeszłości nie dysponowało siłą wojskową i globalną obecnością większą niż kilkanaście kolejnych potęg razem wziętych. Żadne państwo nie miało porównywalnego z USA wpływu na finanse globu. Amerykańskie firmy technologiczne i studia filmowe już nie tylko dyktują połowie świata, co oglądać i co kupować, ale wręcz, w co wierzyć i jakich sobie wybierać przywódców.

Z drugiej strony przyjazd do Nowego Jorku to podróż w czasie o kilka dekad wstecz. Aby dostać się na Manhattan trzeba albo przyjechać pociągami po torach, które trzęsą bardziej niż w Polsce, albo wjechać samochodem po jednym ze zdezelowanych mostów, albo wylądować na jednym z lotnisk, których standard bliższy jest Karaczi niż Monachium. Metro jest stare, drogi i ulice dziurawe, korki nieznosne. Wszyscy wiedzą, jakie są przyczyny i co należałoby zrobić – uruchomić wielki federalny program inwestycji w infrastrukturę, jednocześnie prywatyzując lotniska i pogonić związki na kolei – ale nic się nie dzieje. A ponieważ Kongres USA został dawno przejęty przez ludzi, którzy nie są w stanie wygrać wyborów bez wysługiwanie się interesom bogaczy lub związkowców, nikt nawet nie udaje, że coś może się zmienić. A skoro system parlamentarny jest tak zakleszczony jak XVIII-wieczna Polska, powstaje zasadnicze pytanie: jak długo Stany Zjednoczone mogą korzystać ze zbudowanej w XX w. pozycji lub, bardziej praktycznie, czy obecny lokator Białego Domu regeneruje ich potęgę, czy przyspiesza upadek?

Osobiście stawiałbym na to drugie, bowiem głoszona przez prezydenta Trumpa doktryna narodowego samolubstwa cierpi na kilka sprzeczności. Po pierwsze, nikomu, kto kiedykolwiek negocjował ze Stanami Zjednoczonymi – czy to zakup F-16, czy budowę bazy tarczy antyrakietowej – nie umknęło to, że USA zawsze kierowały się twardym narodowym interesem. W tym sensie Trump jest jak PiS

– epatowanie własnym egoizmem ma z jednej strony oskarżyć poprzedników o brak patriotyzmu, a z drugiej mobilizować własną bazę. Nawet jeśli faktyczne interesy leżą odlego.

Po drugie, nawet jeśli postmodernistyczny świat globalnych instytucji jest mrzonką dla naiwnych, to czy ogłaszanie jego końca naprawdę jest w interesie kraju, który większość tych instytucji stworzył i przez z górą pół wieku podtrzymywał? Ktoś mógłby powiedzieć, że nawet jeśli po stosownych analizach państwo amerykańskie doszło do wniosku, że wobec zakończenia okresu zimnowojennego i postzimnowojennego rola światowego policjanta bardziej mu szkodzi, niż sprzyja, to nadal w jego interesie jest utrzymanie się przekonania reszty świata, że USA wciąż gra w multilateralną grę. Bo można wtedy czerpać wszelkie korzyści z tego, że inni nadal stosują się do uzgodnionych reguł, samemu nie czując się nimi związanym. Ogłaszanie, że wywracamy zabawki, tylko daje sojusznikom i rywalom sygnał do szybszego dostosowania się.

Po trzecie, ONZ to chyba ostatnie miejsce na świecie, gdzie powinno się ogłaszać doktrynę absolutnej suwerenności. I nie chodzi tylko o to, że Stany Zjednoczone – dysponując wetem w Radzie Bezpieczeństwa – akurat o swoją suwerenność w ogóle nie muszą się martwić. Ale jeśli uważają, że suwerenność zabrania jakichkolwiek ingerencji w wewnętrzne sprawy innych

państw, to jakim prawem potępią komunistyczną Kubę, teokratyczny Iran czy populistyczną Wenezuelę? Jeśli Karta Narodów Zjednoczonych z zapisanymi w niej zasadami współistnienia to tylko świstek papieru wymyślony przez globalistów, to na jakiej podstawie prawnej czy etycznej można domagać się domagania przez inne kraje przestrzegania jakichkolwiek standardów? Logicznym dopełnieniem doktryny Trumpa powinno być wycofanie wojsk amerykańskich z reszty świata, wypędzenie darmozjadów z ONZ z Nowego Jorku i powtórzenie XIX-wiecznej brytyjskiej *splendid isolation*. Stany Zjednoczone z pewnością mogą sobie na taki eksperyment pozwolić. Ale czy potęgowałoby to ich zamożność i wpływy – mam wątpliwości.

Pytanie dla nas brzmi: jak do doktryny Trumpa powinna odnieść się Polska? Na razie zachowujemy się tak, jakby deklarowana amerykańska samolubność miała dotyczyć całego świata oprócz nas. Jakby traktaty zawarte z innymi państwami miały obowiązywać tylko wtedy, gdy służą one doraźnemu interesowi USA, ale wobec nas były zapisane w kamieniu. Jakby ideologiczna solidarność polskich i amerykańskich nacjonalistów miała przewycięzać nieuniknione różnice perspektyw. Nasi europejscy partnerzy, Brytyjczycy, Francuzi i Niemcy – sparzywszy się – już nabrali dystansu. Tutejsze komentarze na temat nieszczęsnego zdjęcia prezydentów w Gabinie Owalnym podkreślały, że Trumpowi udało się urazić nawet swoich ostatnich europejskich zwolenników – Polaków. A z mojej nowej książki „Polska może być lepsza” mogą się Państwo dowiedzieć, że prezydent Duda nie jest pierwszym naszym przywódcą, który na własnej skórze przekonał się o kosztach takiej postawy.



© STANISŁAW TYM

KOMENTARZ

Prokurator
wymusi

Ewa Siedlecka



PiS szykuje przepisy, które spowodują, że to nie sąd, lecz prokurator będzie zwalniał z tajemnic zawodowych: adwokackiej, radcowskiej, lekarskiej, dziennikarskiej.

Tajemnice bankowa i ubezpieczeniowa już praktycznie nie istnieją, bo zrobiono od nich zbyt wiele wyjątków. Prokuratura podsłuchuje adwokatów bez pozwolenia sądu – co ujawniono w sprawie tzw. afery krakowskiej za poprzednich rządów PiS (w sądowych aktach jednej ze spraw znalazły się nagrania rozmów klientów z adwokatami). Na początku obecnych rządów obóz władzy wprowadził do ustaw policyjnych i prawa telekomunikacyjnego, a potem do ustawy antyterrorystycznej przepisy, które bez kontroli sądu pozwalają policji i służbom podglądać naszą aktywność w internecie. I włamywać się do komputerów. Teraz ma paść ostatni bastion bezpieczeństwa komunikowania się, czyli rozmowa w cztery oczy.

„Dziennik Gazeta Prawna” dotarł do nowego projektu szykowanego w Ministerstwie Sprawiedliwości: prokurator będzie mógł przesłuchiwać adwokata, radcę prawnego, doradcę podatkowego na okoliczność tego, co mu powiedział klient. Będzie mógł żądać np. od lekarza informacji o jego pacjentach – politykach opozycji. A od dziennikarzy – danych ich informatorów i okoliczności, w jakich pozyskali informacje. Za odmowę – grzywna lub areszt. I znowu przesłuchanie – grzywna (areszt).

Dzisiaj zgodę na zwolnienie z tajemnicy wyraża sąd, i musi to być podyktowane niemożnością zdobycia dowodu inną drogą. Zwolnić można, gdy przemawia za tym „dobro wymiaru sprawiedliwości”.

Załatwiacze

Sylwester Tułajew, poseł i kandydat PiS na prezydenta Lublina, mówi wprost, że załatwił w MSWiA więcej pieniędzy na jeden z komisariatów. Zostanie on oddany do użytku wcześniej, niż było to planowane. Stwierdził, że dzięki jego staraniom tegoroczna pula pieniędzy na budowę została zwiększona o 6,8 mln zł. „Dzięki moim staraniom w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji przyspieszamy w sposób znaczący” – chwalił się. Co takiego stało się, że kandydat na prezydenta chwali się przyspieszeniem? – pytali dziennikarze. – Wtedy nie było decyzji o zwiększeniu środków i szybszym zakończeniu prac. Teraz jest – odpowiadał Tułajew. Poseł PiS zapytany, kiedy podjął tę decyzję, mówi jedynie, że w ostatnich tygodniach. – Dopiero dzięki panu posłowi Tułajewowi budowa ruszyła – potwierdzał przedstawiciel mieszkańców.

Kandydat na prezydenta lubi załatwiać. Na innym spotkaniu wyborczym pochwalił się, że to on załatwił w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju sprawę zwrotu 9 ha gruntu

prywatnym osobom ciągnącą się przez lata. „Wystąpiłem z wnioskiem do pana ministra, aby podjął ostateczną decyzję, na którą czekano od dziewięciu lat. Dzięki mojej interwencji po dziewięciu latach zapadła decyzja” – ogłosił.

– *Jeżeli ktoś nam tak mówi i jeszcze do tego publicznie – to ujawnia swój lekceważący stosunek do zasad, do procedur, które mają gwarantować, że wszyscy obywatele będą tak samo traktowani przez urząd. Taki ktoś funduje nam państwo (i samorząd uzależniony od państwa!) oparte na znajomościach – mówi prof. Ewa Łętowska. – Przecież to „za komunę” materiały budowlane i inne dobra deficytowe dla „terenu” załatwiali się przez dojsia w miejscowym Komitecie partyjnym. To sytuacja, gdy kto bliżej ucha decydenta, ten lepszy. Swoją swemu załatwi. Myślę, że ten człowiek nawet nie orientuje się, co pokazuje. No i wcale nie wiem, czy to nie jest aby powoływanie się na wpływy i możliwości ministerialne?*

Według Kodeksu karnego jeżeli ktoś sugeruje, że dzięki swoim kontaktom może załatwić określone sprawy, może nawet na osiem lat trafić do więzienia. Zgodnie z art. 230 par. 1 kk zabronione jest

powoływanie się na wpływy w instytucji państwowej, samorządowej, organizacji międzynarodowej albo krajowej lub w zagranicznej jednostce organizacyjnej dysponującej środkami publicznymi i podejmowanie się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub osobistą albo jej obietnicę. Grozi za to kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy aż do ośmiu lat.

Co więcej – taka sama kara grozi również osobie, która sama nie powołuje się na wpływy, ale która wywołuje przekonanie u innej osoby lub utwierdza ją w przekonaniu o istnieniu takich wpływów. Korzyścią osobistą byłoby tu choćby pozyskanie w ten sposób wyborców, może w konsekwencji wygranie wyborów. – *No, chciałabym widzieć to postępowanie prokuratury w sprawie z art. 230 kk: korzyść osobista w postaci sukcesu wyborczego. Założymy się, że takiej sprawy nigdy nie będzie?* – mówi prof. Łętowska. W każdym razie obecna kampania pełna przeróżnych licytacji może dla niektórych polityków okazać się polem minowym.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Zatem sprawa musi być naprawdę poważna, a podejrzenia prokuratury – wiarygodne.

Jedną z najgłośniejszych spraw było zwolnienie przez sąd z tajemnicy Wojciecha Bojanowskiego, dziennikarza TVN. Sąd pozwolił prokuraturze na przesłuchanie go w celu ujawnienia informatorów, dzięki którym dotarł do nagrań z rażenia Igora Stachowiaka przez policjantów prądem z paralizatorów. Podobnie stało się w sprawie dziennikarki Polsat News Ewy Żarskiej, która ujawniła aferę pedofilską. Została ukarana przez sąd grzywną – i będzie karana do skutku. Wojciech Bojanowski też zapowiedział, że informatorów nie ujawni.

Po publikacji „DGP” rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości zapewnił, że ministerstwo wycofało się z planów dotyczących dziennikarzy. Zapewne zdało sobie sprawę, że nie spodobałoby się to także redakcjom wspierającym „dobrą zmianę”. Nie z takich jednak rzeczy PiS się wycofywał, a potem w Sejmie, rzutem na taśmę, przywracał.

Ale już samo zwalnianie z tajemnicy przez prokuratora prawników czy lekarzy jest wystarczającym naruszeniem konstytucji, czyli również broni procesowej, bo prokurator w procesie zyskuje dominującą pozycję, prawa do obrony, kontrolnej roli mediów, praw i interesów każdej osoby korzystającej z pomocy prawnika czy lekarza.

PiS, stosując przemoc legislacyjną, uchwali sobie, co zechce. Ale każdy adwokat, dziennikarz czy lekarz – czyli przedstawiciel zawodów zaufania publicznego – ma moralny obowiązek obywatelskiego nieposłuszeństwa, by chronić prawa klientów, informatorów, pacjentów. A żaden przepis nie zadziała, jeśli nie zastosuje go sąd. Polscy sędziowie potrafią być niezawisli i odważni. Mogą odmawiać karania prawników, lekarzy czy dziennikarzy, którzy odmawiają ujawnienia tajemnicy prokuraturze. Tak jak odmawiają karania obywateli korzystających – wbrew pisowskiemu prawu – z wolności zgromadzeń. Sądy mogą zinterpretować prawo zgodnie z konstytucją, jak zrobił to w czerwcu 2017 r. Sąd Apelacyjny we Wrocławiu. PiS uchwalił, że sąd musi uwzględnić dowód zdobyty przez organy ścigania w drodze przestępstwa. A sąd odmówił uznania dowodów z nielegalnej prowokacji CBA, uznając, że naruszyłyby to prawo do rzetelnego sądu.

Bo prokuratura, czyli narzędzie, za pomocą którego partia Kaczyńskiego rządzi, ma tyle władzy, ile jej dadzą jej sądy. Dlatego obrona ich niezawisłości jest tak kluczowa.



© REUTERS/FORUM

Bez ostrzeżenia

Wielki meczet Baiturrahman w Palu zniszczony przez trzęsienie ziemi.

Ofiar trzęsienia ziemi na indonezyjskiej wyspie Sulawesii (dawniej Celebes) mogło być mniej, gdyby zadziałał system ostrzegający przed nadejściem tsunami. Wstrząs z 28 września wywołał falę o wysokości 6 m, która tuż przed zachodem słońca wdarła się do dwóch portowych miast, Palu i Donggala. Na początku przeszukiwania zawałonych i zatopionych budynków znaleziono ponad 800 ciał, władze lokalne przewidują, że ofiar będzie wielokrotnie więcej. Ratownikom brakuje ciężkiego sprzętu i paliwa. Ocalonym wody i jedzenia, zaopatrzenie dostarczane jest m.in. z oddalonej o 1,5 tys. km Dżakarty.

Leżąca w pasie sejsmicznym Indonezja zmagą się z częstymi trzęsieniami ziemi i tsunami, na dodatek żyje w cieniu ponad setki aktywnych wulkanów. O ile nie ma sposobu, by przewidzieć wstrząsy czy wulkaniczne erupcje, o tyle można wychwycić podnoszący się poziom morza i zaalarmować będących przy brzegu. Do rozwoju systemu ostrzegawczego zdopinguowało tsunami z 2004 r., które na Oceanie Indyjskim doprowadziło do śmierci 250 tys. osób, połowa z nich zginęła w Indonezji. Tym razem służby nie miały szans właściwie zareagować. Nowoczesny system czujników istnieje, ale jest niekompletny i pozostaje w fazie testów, nie ma pieniędzy, by go uruchomić. Nie działa żadna z 22 boi zacumowanych na pełnym morzu. Z braku informacji i nadal ułomnych modeli prognozujących rozchodzenie się fal, służby meteorologiczne prawdopodobnie zbyt wcześnie odwołały alarm dla położonego na końcu długiej zatoki Palu, gdzie nie zawyły syreny, a mieszkańcy zebrali się na plaży, czekając na otwarcie festiwalu muzycznego.

Antyamerykańska koalicja

Podczas ubiegłotygodniowego szczytu ONZ stała się rzecz niezwykła. Nie z powodu pierwszego wysłania prezydenta USA na forum Zgromadzenia Ogólnego, choć to też wydarzenie bezprecedensowe. Chichot ogarnął dystygnowane głowy państw, gdy Donald Trump powiedział, że „w niecałe dwa lata moja administracja osiągnęła więcej niż niemal wszystkie poprzednie w historii naszego kraju”. Amerykanin śmiał się razem z nimi.

Naprawdę niezwykle było coś mniej śmiesznego: pierwszy raz w historii Europa na forum ONZ stanęła wraz z Rosją i Chinami przeciwko Ameryce. Nieporozumień było w przeszłości kilka, m.in. o Palestyńczyków czy wojnę w Iraku. Żadne z nich nie naruszyło jednak zachodniego sojuszu. Z obecnym może być inaczej. Dotyczy tzw. umowy nuklearnej, którą z Iranem zawarło pięciu członków Rady Bezpieczeństwa plus Niemcy, w tym Ameryka Baracka Obamy. Trump uważa, że to „najgorsza umowa w historii”, i wiosną wycofał z niej USA. Teraz chce zmusić do tego pozostałe strony, grożąc np. francuskim czy niemieckim firmom tzw. sankcjami wtórnymi, jeśli nadal będą handlować z Irańczykami.

Europejczycy uważają, że irańska umowa spełnia swoje zadanie – odsuwa zagrożenie irańską bronią jądrową, jednocześnie wyciągając Iran z politycznej izolacji. Aby więc uratować umowę, antyamerykańska (!) koalicja szykuje m.in. specjalny mechanizm, który ma podtrzymać handel z Iranem. Chodzi m.in. o zasady wymiany barterowej, w ramach której Iran będzie mógł sprzedawać ropę naftową w zamian za konkretne towary, omijając w ten sposób blokady w międzynarodowych przelewach pieniężnych, które Amerykanie mają wprowadzić już 5 listopada. To się zapewne nie uda, bo europejskie firmy, jeśli zostaną postawione przed dylematem: handel z USA czy z Iranem, nie będą miały wątpliwości. Ale sprawa irańska może się okazać początkiem sojuszu, w którym pierwszy raz od XIX w. Europa i Azja będą przeciwko Ameryce. Rządowi Trumpa rzeczywiście udało się coś, czego nie dokonał żaden poprzednik.

Wstyd za pedofilię

Niemiecki Kościół mierzy się ze swoim raportem na temat nadużyć seksualnych.

To 11 września Kościoła katolickiego w Niemczech. Tak zareagowała część mediów na precedensowy raport o pedofilii w tamtejszym Kościele. Odnotowały go media na całym świecie, między innymi w krajach muzułmańskich, włącznie z Indonezją i Iranem. Zlecił go episkopat niemiecki już cztery lata temu. Ustalenia raportu zszokowały niemiecką minister sprawiedliwości Katarinę Barley. Wyraziła obawę, że to i tak wierzchołek góry lodowej. Szef niemieckiego episkopatu kardynał Reinhard Marx uważa publikację raportu za punkt zwrotny w walce o przywrócenie zaufania wiernych do Kościoła. Z ustaleń wynika, że 1670 duchownych (4,4 proc. ogólnej liczby kleru w badanym okresie od 1946 do 2014 r.) skrzywdziło na tle seksualnym co najmniej 3677 osób niepełnoletnich, głównie chłopców. Jedna szósta zbadanych przypadków może się kwalifikować jako



© PAP/EP

gwałt. Około 60 proc. sprawców uniknęło odpowiedzialności karno-sądowej. Przepięstwa utajniano, sprawców przenoszono do innych parafii, nie informując ich, kto do nich przybywa.

Konkretne liczby to spory krok naprzód, ale w niemieckiej dyskusji na temat raportu zgłoszono wątpliwości, czy jest wiarygodny i w jakim stopniu, bo przecież nie można być sędzią we własnej sprawie. Krytycy wytknęli, że raport nie obejmuje księży zgromadzeń zakonnych. A przecież jednym z największych ujawnionych skandali był przypadek prowadzonej przez jezuitów elitarnej szkoły w Berlinie, gdzie dwóch duchownych przez długie lata molestowało uczniów. Z kolei w chórze chłopięcym prowadzonym przez starszego brata papieża emeryta Ratzingera, Georga, miało dojść do ok. 500 przypadków nadużyć seksualnych, także w czasie, gdy on nim kierował, choć sam twierdzi, że o niczym nie wiedział. Co dalej? W dyskusji padają głosy, że trzeba znieść celibat, zezwolić księżom na małżeństwa, a ofiarom Kościoła powinien wypłacać odszkodowania.



Aadhaar podzielił Indie

Zapis tęczówki oka potrzebny przy rejestracji w systemie Aadhaar.

Aadhaar to największy na świecie biometryczny system ewidencji ludności, obejmujący ponad 1,2 mld osób. Każdej, na podstawie odcisków palców i zapisu tęczówki oka, nadano w nim 12-cyfrowy numer. Na początku Aadhaar (czyli w hindu: fundament, baza) był dobrowolny. Dwa lata temu, już za premiera Modiego, stał się obowiązkowy przy korzystaniu z pomocy społecznej, a przed rokiem – przy płaceniu podatków. Ale w tym gigantycznym kraju, gdzie nie ma innych powszechnych dokumentów, był praktycznie wymagany na każdym kroku. Stąd zapytanie do Sądu Najwyższego o konstytucyjność i legalność tych praktyk. Sędziowie wydali właśnie, na 1448 stronach, salomonowe rozstrzygnięcie: system ma umocowanie konstytucyjne i może być używany przez państwo, natomiast nie wolno go wykorzystywać dla potrzeb komercyjnych. To duży cios dla telefonii komórkowej i banków, gdzie Aadhaar sprawdzał się idealnie (rząd już zapowiedział, że wprowadzi przepisy wykonawcze, aby załatać tę lukę prawną).

System ma też jednak swoją ciemną stronę: wobec olbrzymiej skali przedsięwzięcia i pionierskiego charakteru, przy wprowadzaniu danych zdarzyło się sporo

błędów. W stanie Jharkhand, jednym z najbiedniejszych w kraju, gdzie przeprowadzono badania kontrolne, takich błędnych zapisów odkryto aż 8,8 proc. O tragicznych konsekwencjach – jak w państwowym punkcie dystrybucji, w którym zdarzało się, że ludzie nie dostawali jedzenia, bo nie było ich w systemie. Zanotowano nawet kilkanaście przypadków śmierci z głodu. Można interweniować w mieście, ale to wymaga czasu i łapówki. Rodząca kobieta nie została przyjęta do szpitala, bo Aadhaar ją odrzucił, a nadgorliwi sprawdzają kody dzieciom w szkołach. System jest zero-jedynkowy: nie ma cię w bazie danych, to znaczy, że nie istniejesz. Przy identyfikacji z tęczówką nie ma kłopotu, ale z odciskami palców – już tak, zwłaszcza na wsi. Potrzeba też dobrego połączenia komórkowego, ba, prądu, a i z tym są kłopoty. Stąd powracająca w publicystyce teza, że Aadhaar, w założeniu egalitarny i demokratyczny, dużo gorzej traktuje ubogich. Bogaci dadzą sobie radę, mają też prawo jazdy i konto w banku; biednym do identyfikacji zostaje tylko ten jeden dokument. Kiedy zawodzi, nie ma żadnego ratunku. W tej kwestii, poruszanej w skardze konstytucyjnej, sędziowie akurat się nie wypowiedzieli.

Standard Pinokia

Na czele włoskiej telewizji publicznej staje człowiek, który rozsiewa fake newsy, nie lubi Unii Europejskiej i ufa Putinowi.

Skąd to znamy. Prezesem Rai, włoskiego publicznego radia i telewizji, zostanie Marcello Foa, dziennikarz luźno przywiązany do prawdy. Włochami rządzi koalicja dwóch partii populistycznych, jedna jest skrajnie prawicowa, druga chce być biczem na establishment, i Foa synkretycznie łączy oba nurty. Na dodatek długo pracował w dzienniku należącym do rodziny Silvio Berlusconi, właściciela imperium medialnego, jednego z najbogatszych Włochów i byłego premiera, zachowującego wpływ na bieg spraw w państwie. Foa ma być jego narzędziem. Zasługą nowego prezesa jest i to, że zapoznał Matteo Salvinię, lidera jednej z partii koalicyjnych (tej prawicowej), ze Steve'em Bannonem, byłym głównym doradcą prezydenta Donalda Trumpa, który w Europie intensywnie montuje sojusz europejskiej skrajnej prawicy.

Dziennikarskie związki ostrzegają, że Foa na czele Rai będzie śmiertelnym ciosem dla niezależności mediów publicznych. Foa nie lubi Unii Europejskiej i imigrantów, nie wierzy w szczepionki. Ufa za to Władimirowi Putinowi, dawał komentarze kremlowskiej tubie, wielojęzycznej telewizji RT (kiedyś Russia Today). Wątpi, czy to oficerowie rosyjskiego wywiadu usiłovali otruć w Wielkiej Brytanii Sergieja Skripala. Kolportował nigdzie niepotwierdzone informacje o tym, że Hillary Clinton uczestniczyła w obrzędach satanistycznych, o wielkiej mobilizacji armii amerykańskiej czy włoskiej dziewczynie zjedzonej przez nigeryjskich kanibali.

Szwajcaria nie chce Abramowicza

Oligarchowie od Władimira Putina mają coraz cięższy los. Szwajcaria odmówiła Romanowi Abramowiczowi prawa do osiedlenia się i przeniesienia swoich podatków do kantonu Valais. Kanton był za, ale sprzeciwiła się policja na szczeblu centralnym, przywołując, że Abramowicz może stanowić zagrożenie bezpieczeństwa, być zamieszany w pranie brudnych pieniędzy i posiadać kontakty z organizacjami przestępczymi. Wiemy o tym z przecieków do mediów, prawnicy miliardera (konkretnie 11,9 mld dol. wg „Forbesa”) starali się do ostatniej chwili zablokować publikację, ale się nie udało. Szwajcaria była bardziej wyrozumiała



Roman Abramowicz z synem podczas meczu drużyny Chelsea.

dla ludzi z wielkimi pieniędzmi, ale właśnie pracuje na nową reputację: kraju, który nie pierze i nie kryje – i bardzo jej na niej zależy. A poza tym, jak dano tu do zrozumienia, wyraźnie zmienił się klimat wokół Kremla. A jeszcze bardziej w Wielkiej Brytanii, gdzie, jak wiadomo, władze zwlekały ze wznowieniem Abramowiczowi wizy biznesowej. Przez co nie mógł uczestniczyć w maju w pamiętnym finale Pucharu Anglii, w którym jego Chelsea odniosła zwycięstwo nad Manchesterem United. W ramach retorsji Abramowicz wstrzymał rozbudowę stadionu Chelsea i coraz częściej przebąkuje, że chce nabyty w 2003 r. klub w ogóle sprzedać. Jeśli zaś chodzi o sprawy paszportowe, to... przyjął obywatelstwo Izraela, jak podały miejscowe media – i z izraelskim dokumentem może wpadać do Londynu bez większych kłopotów. Ale tak czy inaczej inne kłopoty (i czarne listy) mogą wisieć na horyzoncie.



Chaos przed koszmarem

JOANNA CIEŚLA

Zaplanowana na przyszły rok kumulacja absolwentów podstawówek i gimnazjów w pierwszych klasach szkół średnich to ewenement na skalę świata. Rodzice dzieci z tego rocznika nie mówią o niczym innym. Na równie głupi i pedagogicznie szkodliwy pomysł nie wpadł dotąd nikt.

W domu Leny (III klasa dużego publicznego gimnazjum) godzinę niedzielnego obiadu ustawia się pod korepetycje. Jeśli w poniedziałek jest kartkówka z matematyki, podany musi być przed 14.30. Do korepetytorki Lena biegnie na 15.30. Dodatkowo bierze jeszcze lekcje angielskiego, geografii i fizyki. – Miesięcznie kosztuje to 1,2 tys. zł. Plus kurs przygotowujący do egzaminu gimnazjalnego. Jeszcze przed wakacjami Lena uparła się, żeby ją zapisać. Zapłaciliśmy 770 zł za jeden blok, teraz cena skoczyła do 990 zł – opowiada mama Leny Anna. „Blok” Lena zamówiła dwa – matematyczno-przyrodniczy i humanistyczny, zajęcia od października do kwietnia, co sobotę. A domowe lekcje na ogół ma po szkole. Wszystko kończy ok. 20–21. Potem uczy się jeszcze w łóżku. – Zastanawiałam się, czy aż tyle jest potrzebne? – przyznaje Anna, ale widząc, jak córka się stara, robi wszystko, żeby jej pomóc.

– Na pierwszym zebraniu w szkole Kuby atmosfera była bliska linczu na nauczycielach – przyznaje Marcin, ojciec ósmoklasisty z prywatnej podstawówki. – „Zawieście wszystkie zajęcia dodatkowe, wycieczki. Natychmiast zaczynajcie ich przygotowywać!”. I rodzice, i dzieci biegną w amoku. Raz wymieniają namiary na najlepsze korki, za chwilę patrzą na siebie z ukosa. Każdy to potencjalny konkurent do miejsca w dobrej szkole średniej. Kuba ostatnio się popłakał, bo pomylił przedmioty, z których miał się przygotować do sprawdzianu. Kto chce się dostać do lepszej szkoły, musi walczyć o każdy punkt. Trzeba wypracować świadectwo – maks: 100 pkt, zdać egzamin – też maks: 100 pkt, i skrupulatnie zbierać „podbijki” – wszelkie punktowane aktywności dodatkowe: wolontariaty, konkursy przedmiotowe, najlepiej olimpiady. Laureaci mają wejście do większości szkół. Kuba, choć nigdy do olimpiad się nie rwał, teraz przymierza się do startu w pięciu.

Z powodu zmiany systemu edukacji o miejsca w szkołach średnich wiosną przyszłego roku ubiegać się będzie dwa razy więcej kandydatów niż zwykle. Spotkają się absolwenci trzecich klas likwidowanych gimnazjów i pierwsi absolwenci przywróconych ośmioletnich podstawówek. Według Systemu Informacji Oświatowej będzie ich ok. 730 tys. Minister Anna Zalewska uważa, że problemu nie ma, ponieważ gimnazjaliści i absolwenci podstawówek nie będą bezpośrednio rywalizować ze sobą. Przyjmowani będą do szkół na podstawie wyników innych egzaminów – gimnazjalnego i ósmoklasisty (oraz świadectw).

Wiceminister Marzena Machałek, w odpowiedzi na interwencję posła Adama Korola z PO, napisała, że szkoły średnie planują zorganizować analogiczną liczbę miejsc zarówno dla absolwentów gimnazjów, jak i dla absolwentów ośmioletniej szkoły podstawowej. Z naszych rozmów wynika jednak, że skrytykowane plany na razie ma tylko część szkół. Pojedyncze rozważają opcję maksimum – zdublowanie liczby dotychczasowych klas. Miejsc dla dzieci będzie mniej niż w latach normalnego, pojedynczego naboru. Zastępczyni MEN pociesza też, że 72 proc. liceów będzie miało wystarczająco dużo sal dla wszystkich klas, a w 28 proc. szkół (tylko?) klas – oddziałów będzie więcej niż sal. Licea mają się tworzyć w miejscu dawnych gimnazjów lub powiększać się kosztem gimnazjów, z którymi były w zespole. Tyle tylko, że według przeprowadzonej kilka lat temu analizy Jana Herczyńskiego i Anety Sobotki z Instytutu Badań Edukacyjnych spośród gimnazjów jedynie 6 proc. znajdowało się we wspólnych budynkach ze szkołami ponadgimnazjalnymi.

Pedagogiczna zdrada

Niezależnie od tego, gdzie ostatecznie uczniów się upchnie, w przyszłym roku absolwenci szkół podstawowych i gimnazjów będą się kształcić w tych samych budynkach, z tymi samymi nauczycielami, jednak według różnych programów i podręczników – rozpisanych na trzy (dla absolwentów gimnazjów) lub cztery lata (dla absolwentów podstawówek). O czymś takim nie słyszał żaden z odpytanych przez nas oświatowych ekspertów i praktyków.

– Cała ta reforma jest absurdalna i pedagogicznie skandaliczna. Gdyby jakkolwiek minister w krajach Europy Zachodniej podjął decyzję o kumulowaniu roczników, musiałby się podać do dymisji następnego dnia. Bo to pomniejszenie szans, cyniczna i populistyczna gra wobec własnych wyborców – ocenia prof. Bogusław Śliwerski, pedagog. Polityczne intencje rozumie tak: ci, którzy kończyli gimnazja z bardzo złymi wynikami (egzaminu gimnazjalisty nie można nie zdać), miewali poczucie złości i buntu, tym bardziej że wcale nie chcieli być w gimnazjum, realizować programu, który przekracza ich potencjał. Teraz po podstawówce mogą iść wprost do szkoły branżowej, teoretycznie mogą też iść prosto do pracy, by tam „odbywać przygotowanie zawodowe”. Zmiana jest adresowana właśnie do nich:

– „Zobaczcie, jak was urządzono. Możemy pomóc waszym synom czy córkom, którzy też w gimnazjum mieliby problemy”. W pierwszym rzucie uderza to jednak najbardziej w uczniów z górnych rewirów intelektualnej normy. Nie w dzieci elity, bo te dostaną się tam, gdzie chcą, ale w mądre i pracowite dzieci klasy średniej, które mogłyby być wykształcone na ludzi sukcesu. W zwyczajnych latach musiały włożyć wysiłek, by znaleźć się w najlepszych liceach. Teraz to stanie się niemal niemożliwe.

To będzie rok ludzkich dramatów. Egzaminy, do których gimnazjaliści i – zwłaszcza – ósmoklasiści staną w kwietniu, oraz późniejsza rekrutacja będą najbardziej sortującą selekcją w ich życiu. W środowisku, w którym wylądają, zostaną na najbardziej formujące młodego człowieka lata. Ci z podstawówek podejść do tej selekcji przeczolągani dwuletnią harówką. Ci z gimnazjów – po lekcji porzucenia, osierocenia i bezradności. Już od ubiegłego roku zostawiali ich nauczyciele i wychowawcy, świetni specjaliści, często uwielbiani przez młodzież. – Można by mówić o zdradach pedagogicznych – przyznaje prof. Śliwerski. – Ale nauczycieli też postawiono przed moralnym konfliktem: wierność uczniom czy własna przyszłość, egzystencja rodziny, stabilność finansowa? U mnie w Łodzi w niektórych gimnazjach dziś brakuje po 11 nauczycieli. W Warszawie w zeszłym roku odeszło ponad 400. Przeszli do szkół niepublicznych, odeszli z zawodu.

Ćwiczenia z rachunków

U córki Moniki, w jednym z najlepszych gimnazjów z Łodzi, nauczyciel fizyki na każdą lekcję, co tydzień, się spóźnia. – Mówi, że przyjeżdża z innej szkoły i inaczej po prostu się nie da – opowiada Monika. U nich w domu to ona na myśl o rekrutacji do liceum denerwuje się bardziej niż córka. – Bo nie wiem, jak mam ją wspierać. Gdy wybierała gimnazjum, mówiłam, że trzeba się starać. Że jak sobie wybierze dobre, to bez problemu dostanie się do dobrego liceum. Wygląda na to, że nie powiedziałam jej prawdy. Monika dodaje, że teraz Marysia na szczęście wciąż nie wie wszystkiego. Na przykład tego, że w zespole szkół, w którym uczy ona sama, normą są naciski rodziców, by trzecioklasistom i ósmoklasistom podnosić oceny, „nie robić krzywdy”. – U Marysi kryteria zastęgiwania na stopnie pozostały sztywne. Wiem, że jeśli będzie próbowała się dostać do trzech najlepszych szkół w mieście, nie ma szans. Więc Monika myśli, jak córką sprytnie pokierować, by wybrała szkoły wystarczająco dobre, nie wylądowała w tych ostatniego wyboru – wśród samych spadochroniarzy.

Kłopot w tym, że na razie nie wiadomo nawet, w czym wybierać. Kandydatów do szkół średnich będzie w Łodzi 11,5 tys., wobec 5 tys. w ubiegłym roku. Władze miasta zapowiadają powołanie zespołu rodziców i dyrektorów, który ustali, ile klas i gdzie dołożyć, by pomieścić nadwyżkę dzieci.

Ćwiczenia z rachunków i symulacje prowadzą wszyscy: uczniowie i rodzice, dyrektorzy szkół i samorządy. Uczniowie i rodzice próbują liczyć punkty z „podbijek”, choć to też częściowo kalkulacje po omacku. MEN ogłosiło, że ogólne zasady nagradzania za ponadprogramową aktywność będą podobne jak dotychczas: 3 pkt za wolontariat, 7 za pasek na świadectwie, do 18 za „szczególne osiągnięcia”, np. wysokie miejsca w konkursach. Ale kuratorzy do końca lutego mają czas, by doprecyzować, które miejsca w konkursach są wysokie i jaki jest za nie punktowy bonus. To ważne, gdy o być albo nie być w liceum decydować może 0,7 pkt.

Wolontariat dokładnie wycenia szkoła macierzysta. „Dodatkowe punkty są o 17.30, na świetlicy” – niesie się po korytarzu. Za 30-godzinną opiekę nad młodszymi uczniami w jednej szkole będzie komplet trzech punktów, inne – zwłaszcza te bardziej tłoczne – oczekują 60 godzin pracy. Ale jak się dobrze zakreślić przy miłej pani z jakiejś fundacji, poświadczyć 60 godzin przy ledwie pięciu faktycznie poświęconych na rozdawanie ulotek w trakcie imprezy masowej. Nie chce dziecka skrzywdzić. ►